

## Fikcje i fikcje

Są fikcje dobre i złe. „Dobre” znaczy tu: twórcze, życiodajne, pożyteczne; „złe” – niszczące, wrogie życiu, destrukcyjne, szkodliwe. Te pierwsze należą do świata „biofilii”, drugie – „nekrofilii”. Złe fikcje pasożytują na życiu, wysysają z niego soki i zakażają je swoimi toksynami. Głównie o tych trujących fikcjach będzie mowa w dalszym ciągu, przy czym na gruncie przyjętych wartościujących określeń powinno być oczywiste, że przyświeca mi zamysł analityczno-krytyczny, nie zaś apologetyczny. Wartościujący charakter tego odróżnienia oznacza też, że zapewne nie wszystkim przypadnie ono do gustu.

Z filozoficzną podejrzliwością zapytałam więc: Dla kogo nie jest oczywiste to, że istnieją dobre i złe fikcje? Z pewnością dla kogoś nie jest, bo to dystynkcja zawierająca nie tylko ocenę, ale też jakieś, choć niesprecyzowane, metafizyczne wybory. Wiadomo przecież, że ani w kwestiach dobra i zła, ani w kwestiach metafizycznych nie panuje wśród filozofów powszechna zgoda. Skoro tylko padają słowa „istnieją” i „fikcje”, znajdujemy się na terenie odwiecznych sporów dotyczących tego, co znaczy „istnieć”, „być”, czym jest rzeczywistość, czym fikcja, iluzja, złudzenie, prawda. Jak zatem i co myśli czy myślałby ktoś, dla kogo owo odróżnienie nie jest oczywiste, kto gotów byłby je odrzucić?

Otóż ktoś (X) może sądzić tak: człowiek niczego nie może do rzeczywistości dodać, ani też nic od niej ująć, nie może jej pomnożyć ani pomniejszyć – jest, jaka jest, może z boskich wyroków, może z jakichś innych przyczyn, a może bez przyczyny. Często ujmuje się wówczas rzeczywistość jako niezmienną – tak zwykło się myśleć o bycie (o tym, co jest) w tradycji idealistycznej. Jednak nie jest to element konieczny w poglądzie X-a: ważne jest to, że człowiek nie ma wpływu na – zmienną czy niezmienną – rzeczywistość. Cokolwiek istnieje, istnieje lub dzieje się samo, a nie z aktywnym udziałem jednostek, ich indywidualnym wkładem. Światem ludzkim rządzą niezależne od człowieka prawa czy siły, na przykład prawa rynku. W takim razie żadne ludzkie wytwory, pomysły ani fikcje nie mogą pomagać ani szkodzić rzeczywistości, wzbogacać ani niszczyć życia.

Jakkolwiek pogląd taki może wydawać się kuriozalny, obawiam się, że ma on swoich zwolenników, kształtuje ludzkie działania, a przynajmniej – zachowania, bo przecież jakoś zachowuje się każdy, nawet X, który w swoim przekonaniu w ogóle nie

działa. Nie musi to być rozbudowany, całościowy pogląd na świat, może występować jako część niespójnego konglomeratu różnych wyobrażeń i przekonań, określających czyjs stosunek do świata. O świecie ludzkim i międzyludzkim, świecie kultury i innych ludzkich wytworów, X myśli jak o świecie przyrody, nie widzi różnic między porządkiem natury a porządkiem społecznym. Ludzkie wynalazki, prawa, obyczaje są dlań równie konieczne jak zjawiska i prawa pozostałej przyrody. Podobno prawdziwe społeczności ludzkie nie znały tej różnicy, nie dostrzegały w swoim istnieniu elementów arbitralności i konwencji, wszystko było dla nich częścią jednego, jednolitego porządku. Być może na jakimś prymitywnym etapie rozwoju gatunku czy rodzaju ludzkiego tak było – i taka wizja świata była adekwatna do stanu faktycznego. Jednak w dzisiejszych czasach, w nowoczesnych społeczeństwach niemożliwa jest, jak sądzę, niewinna wiara w jedność natury i ludzkich wytworów. Traktowanie świata wypełnionego technologią i rozlicznymi systemami – informacji, administracji, ewaluacji, parametryzacji itd., itp. – jako koniecznego wytworu natury, albo sił boskich czy kosmicznych, na które istoty ludzkie wpływu nie mają (albo tylko magiczny), nie jest wcale naiwne i niewinne. To – na co nieraz wskazywali krytycy naszej wspaniałej cywilizacji – barbarzyństwo rozumu. Nie chodzi tu, niestety, o sprowadzenie tego, co ludzkie, ludzkich właściwości, wytworów i relacji do przyrody ożywionej, przeciwnie – do nieożywionej. Jeśli wolno snuć domysły o owych pierwotnych wyobrażeniach o świecie, w którym człowiek nie odstawał od reszty przyrody, to był to świat ożywiony. Natomiast według X-a wszystko jest martwe, porusza się tylko za sprawą takich lub innych mechanizmów.

Między innymi K. Marksowi zawdzięczamy opis procesu (społecznego, nie biologicznego), w którym ludzkie właściwości i międzyludzkie relacje zostają uprzedmiotowione, przeniesione na poziom quasi-objektywnych, bezosobowych bytów i zależności. Postępujące wyobcowanie człowieka – wobec przyrody, samego siebie, innych, istoty gatunkowej – to moralne i fizyczne „odrzeczywistnienie”, „do śmierci głodowej włącznie”<sup>1</sup>. Człowiek – w relacji do siebie samego i do innych – naprzód tylko upodabnia się do rzeczy, staje się coraz bardziej mechaniczny, by wreszcie stać się rzeczą, która już nawet mechanicznie istnieć nie może. Wprawdzie proces urzeczowienia idzie w parze z fetyszyzacją tego, co martwe: rzeczy zostają ożywione i dowartościowane. Jednak żywy ruch towarów bynajmniej nie wynagradza strat po stronie życia, lecz je pomnaża. A zatem Marks uważa, że „strat w ludziach” – w tym, co ludzkie i w liczbie istnień – nic nie jest w stanie powetować. Nie istnieje żaden – magiczny ani naukowy – sposób odczyniania zła, unieważniania egzystencjalnych zniszczeń. Jednak przyczyny tych strat nie są tak konieczne jak ich skutki. Mogłoby

---

<sup>1</sup> K. Marks, *Rękopisy ekonomiczno-filozoficzne z 1844 r.*, przeł. K. Jażdżewski, T. Zabłudowski, w: K. Marks, F. Engels, *Dzieła*, t. I, Książka i Wiedza, Warszawa 1976, s. 548.

być inaczej. Alienacja nie jest boskim zrzędzeniem ani wytworem nieubłaganych praw fizyki. Falszywa świadomość podtrzymuje jednak pozór, jakoby stosunki społeczne były od ludzi niezależne.

Owe wyobrażenia o bezosobowej naturze ludzkiej rzeczywistości doskonale służą złym fikcjom. Bez względu na to, czy ktoś w dobrej, czy złej wierze hołduje takim poglądom, czy żywi w tym względzie głębokie przekonania, czy też tylko unosi się z ich prądem – każdy taki akces buduje złowrogą logikę fikcji, która tym lepiej funkcjonuje – „fikcjonuje” – im większą liczbę żywych jednostek bierze w swe objęcia. (Jednak w świetle tego, co wcześniej powiedziałam, trudno uznać, że ktoś mógłby w dobrej wierze służyć owym bezosobowym konstrukcjom.) Im większa liczba tych akcesów, tym bardziej nieuchronny i konieczny wydaje się iluzoryczny świat. Przy pełnej iluzji jest to świat jedyny i ostateczny. Wtedy nikomu nawet nie postanie w głowie, że mogłoby istnieć cokolwiek innego. Zła fikcja, włączając człowieka w swoją strukturę, pozbawia go krok po kroku wszystkiego; odbiera mu i aktualne istnienie, i możliwości. Udając jedyną rzeczywistość, niszczy wszystko poza sobą: Nie wpisujesz się? – Nie istniejesz.

Z kolei Y nie zgodziłby się na istnienie dobrych i złych fikcji, czyniąc pewne metafizyczne założenia, dokonując pewnych wyborów dotyczących istoty rzeczywistości. Czy to sama ta rzeczywistość dyktuje mu ten wybór, czy też jest to fikcja – nie wiadomo. Podobnie zresztą w wypadku poglądów X-a nie sposób tego rozstrzygnąć, jednak Y wykazuje większe metafizyczne zaangażowanie. Głosi: człowiek nie może nic dodać do rzeczywistości, ale może ją umniejszać, psuć, oddalać się od niej. I w tym właśnie – jest ludzki. Y dostrzega destrukcyjne możliwości człowieka i ceni ludzkie życie. Jest bardziej wrażliwy niż X, myśli o konsekwencjach ludzkich działań i zaniechań. Osoba stoi nieskończenie wyżej niż to, co bezosobowe, a życie ponad śmiercią. Jednak destrukcyjnym możliwościom człowieka nie odpowiada symetryczna możliwość po drugiej stronie: człowiek nie może w gruncie rzeczy niczego stworzyć, może byt co najwyżej chronić i reprodukować, gdyż byt, istnienie, jest od niego niezależne. Człowiek – po Nietzscheańsku mówiąc – nie może „być kimś więcej, niż jest”, jego „jest” bowiem jest od niego niezależne. Przy tym istotę tę uznaje się za najwyższą formę w hierarchii bytów stworzonych. Istota ta, choćby nie wiadomo, jakiemu ulegała zepsuciu, jest zawsze lepsza niż wszelki byt stojący w hierarchii niżej: „lepszy jest duch rozumny nawet «zepsuty» przez swą złą wolę niż nierozumny «niezepsuty»; lepszy jest dalej jakikolwiek duch, nawet «zepsuty», niż jakikolwiek ciało «niezepsute»<sup>2</sup>. A zatem nic nie jest w stanie obniżyć ani zniszczyć bytowej pozycji tej istoty; w tym sensie człowiek nie może zaszkodzić istnieniu

---

<sup>2</sup> Św. Augustyn, *O naturze dobra*, przeł. M. Maykowska, w: *Pisma filozoficzne*, t. IV, PAX, Warszawa 1954, s. 171.

własnemu ani innych. Można by jeszcze, dla kompletności logicznej, wskazać pogląd, zgodnie z którym człowiek wyłącznie tworzy i buduje, a niczego nie niszczy – nie sadzę jednak, by mógł on wnieść coś istotnego do tych rozważań.

Przekonaniom X-a i Y-a można przeciwstawić pogląd Arystotelesa. Człowiek dysponuje większymi niż inne żywe istoty możliwościami zarówno w sensie pozytywnym, jak i negatywnym: „Jak bowiem człowiek doskonale rozwinięty jest najprzedniejszym ze stworzeń, tak jest i najgorszym ze wszystkich, jeśli się wyłamie z prawa i sprawiedliwości. Najgorsza jest bowiem nieprawość uzbrojona, człowiek zaś rodzi się wyposażony w broń, jaką są jego zdolności umysłowe i moralne, które, jak żadne inne, mogą być niewłaściwie nadużywane”<sup>3</sup>. I dobro, i zło są dziełem człowieka jako istoty wyposażonej w „logos”: myślenie i mówienie. Zło i dobro mają wiele wspólnego z używaniem języka: jako istota polityczna człowiek realizuje swoją naturę (i cel) we wspólnocie słów i czynów. Logos – myślenie i mówienie – to broń, która „uzbraja” nieprawość. Na słowach zasadza się istnienie ludzkiej wspólnoty, one też w dużej mierze określają treść i kształt międzyludzkich relacji. Bardziej nowocześnie mówiąc, język zapośrednicza stosunek człowieka do siebie i innych.

Słowa... to one są narzędziem fikcji. Nie pojedyncze znaki, lecz budowane za ich pomocą struktury znaczące, ale również pojedyncze słowa czy hasła mogą tworzyć fikcje, gdyż występują od razu w obrębie wielu struktur znaczących, w kontekście zastanych i domniemanych znaczeń, a także – tego, co przemilczane. Słowa nadają się o wiele lepiej do budowania fikcji niż inne znaki (dajmy na to obrazy) m.in. dlatego, że od razu składają się w strukturę, system, ogólność – każdy, kto zna język, z góry akceptuje tę strukturę i podporządkowuje się jej. Zła fikcja nie wymaga niby niczego, tylko wpisania się, podporządkowania – które sama z góry gwarantuje. Jednak żadna struktura nie może żywić oczekiwań; to ludzie zarządzający na bieżąco produkowanymi systemami oczekują, że inni się w nie wpiszą. Z punktu widzenia zarządzających jest całkowicie obojętne, kto i co wpisze – patrząc z góry, nie sięgają wzrokiem do indywidualnej egzystencji. Dla jednostki zaś, patrzącej z egzystencjalnych dołów, niedostrzegalne są wyżyny bytu, z których zarządca czerpie inspiracje do swoich ważnych poczynań. Biednym profanom można zatem tylko dać do zrozumienia, że chodzi o coś ważnego i groźnego. Jak świat światem, rzekoma tajemnica dostępna wybranym, ukryta przed resztą, była sposobem wywierania nacisku i narzędziem władzy.

Zła fikcja jest wynikiem mnożenia trzech czynników: „ludzkiego”, liczby udziałowców oraz „minusa”, negatywnego oddziaływania. Jest to więc zastosowanie niezawodnego schematu, dające zawsze wynik negatywny. Czynniki ludzki może wykazywać mniejszy lub większy stopień indywidualizacji oraz zaangażowania. Można mniej lub

<sup>3</sup> Arystoteles, *Polityka*, przeł. L. Piotrowicz, PWN, Warszawa 1964, s. 8 (1253a).

bardziej aktywnie popierać jakąś sprawę, można inicjować różne działania, można ledwo współpracować, albo też tylko dokładać się do sprawy statystycznie. Każdy jednak z tych rodzajów udziału jest udziałem ludzkim i każdy tak samo zwiększa ich liczbę, a przez to pomnaża fikcję. W niepokojący sposób liczba w sensie arytmetycznym oraz znak negacji działają tu na niekorzyść życia, tak jakby współpracowały ze złem. Minus, negacja pomnaża wynik, nieproporcjonalnie i niesprawiedliwie zdawałoby się w stosunku do tego, co może zdziałać plus. Negacja wykorzystuje dowolną wielkość na swoją korzyść, przeciąga byt na swoją stronę. (Dobre fikcje nie mają takiej łatwości oddziaływania jak złe.) Minus przemienia byt w niebyt? Minus wykorzystuje dowolną liczbę ludzkich istnień, by wywrócić życie na nice?

Nie dajmy się jednak zwieść tej fikcji. To nie abstrakcyjna liczba, lecz liczba żywych, ludzkich udziałów tworzy owe negatywne struktury, i nie sam logiczny znak negacji sprawia, że to, co bezosobowe, pochłania to, co indywidualne. Minus jest tu tylko efektem i wyrazem negatywnych, niszczących działań człowieka, jest nazwą ludzkich działań i zaniechań. A jednak magia znaków... Tak przyjemnie jej ulegać. Ponadto zaś jest coś szczególnie pociągającego w owej negatywnej logice fikcji, za sprawą której wynik zawsze jest, nieuchronnie negatywny: człowiek lubi, jeśli rzeczywistość potwierdza jego oczekiwania, a tu ma, by tak rzec, gwarancję nicości. Nie przypadkiem też, jak sądzę, znaki matematyczne – i systemy informatyczne – okazują się dobrym narzędziem fikcjonowania rzeczywistości. Sformalizowane systemy znaków i działań mogą świetnie funkcjonować jako narzędzie i forma, wręcz obiekt kultu – tego, co bezosobowe. Wyższy stopień formalizacji jest zapewne w oczach jej sympatyków bardziej wysublimowaną formą adoracji absolutu, a sformalizowane systemy administracji, zarządzania etc. doskonale służą propagowaniu tego kultu.

Fikcje mają swoich twórców. Nie biorą się znikąd, nie spadają z nieba, nie wyrastają jak grzyby po deszczu. Zapewne mogą mieć w sobie i coś z grzyba, i coś z boskiego natchnienia, i coś z niczego, ale ponadto są wytworami człowieka. Słowa są arbitralnie przez człowieka używanymi znakami, to nie wysypka, która nie ma autora, nadawcy. Różnią się też od iluzji czy złudzeń samoczynnie wygenerowanych przez nasz organizm lub pod wpływem narkotyków. Dobre fikcje są pozytywnymi propozycjami, zaproszeniami do ciekawszego świata. Te złe są nam narzucane – a że niby twórców nie mają, to jakby same się narzucają. I występują od razu z pretensją do obiektywności i konieczności: zjawiają się od razu jako część rzeczywistego świata społecznego, niczym jego odwieczna składowa. Nieproszone, arbitralne, bezduszne. Choćby nie wiadomo jak od nich stronić, wywierają niszczący wpływ na życie już przez to, że niepotrzebnie zajmują miejsce w czasie i przestrzeni, zaśmiecają rzeczywistość i świadomość.

„Iluzja”, „złudzenie”, „pozór” to pojęcia o bogatych odniesieniach metafizycznych, moralnych, estetycznych i oczywiście psychologicznych. Pojęcia te należą

filozoficznie do tej samej rodziny, co pojęcie fikcji. Fikcja jednak, powtórzę, zawsze ma autora: to wymysł, zmyślenie, wytwór człowieka. Nic dziwnego, że sympatycy poglądu X-a – prawdziwi czy zmyśleni przeze mnie – nie uznają istnienia dobrych i złych fikcji. Dla nich wszystko jest bezosobowe, anonimowe.

Związek fikcji i pozorów zasadza się na tym, że człowiek ma skłonność do ulegania pozorowi, bez którego fikcja nie działałaby. Wykorzystuje ona – w dobry lub zły sposób – istotną właściwość ludzkiej natury, o wielkim znaczeniu dla myślenia, twórczości, kultury. Albo ten umysłowy potencjał chroni i rozwija, albo paraliżuje i niszczy. O przemożnej skłonności i potrzebie ulegania pozorowi, ich powodach, pozytywnych i negatywnych konsekwencjach, można się wiele dowiedzieć z Kantowskich analiz pozorów. Psychologiczna i metafizyczna potrzeba każe człowiekowi spodziewać się bytu tam, gdzie jakkolwiek myśl, idea, pojęcie i znak go sugerują. Według Kanta w poznaniu pojęciom odpowiada pewna zmysłowa treść, jednak człowiek oczekuje takiego treściowego wypełnienia również w wypadku pojęć, którym żadna zmysłowa treść nie odpowiada. Wtedy coś subiektywnie koniecznego uznaje za konieczne obiektywnie: „subiektywną konieczność pewnego powiązania naszych pojęć, korzystną dla intelektu, uważa się za konieczność obiektywną, określenia rzeczy samych w sobie”<sup>4</sup>. Siła i waga tego psychologicznego mechanizmu decyduje o tym, że niewiele trzeba, by popchnąć umysł w kierunku domniemanego bytu. Każdy znak idei, słowo zwłaszcza, może być zachętą do uznania, że „coś” za nim stoi – istnienie. Można wręcz „pojęcie brać za rzecz, a nazwę rzeczy za pojęcie”<sup>5</sup> – w skrócie: brać znak za rzecz samą. Znowu widzimy tu właściwe złej fikcji podawanie sztucznej rzeczywistości znaków za jedyną, pełną i prawdziwą, zastępującą wszystko inne. Jakkolwiek wg Kanta „transcendentalny pozór” jest konieczny, nie musimy oszukiwać ani siebie, ani innych: „Wmówienie mogę zatrzymać dla siebie, jeśli się z tym dobrze czuję, nie mogę jednak ani nie powinienem chcieć uczynić go ważnym poza mną”<sup>6</sup>.

Niestety, jesteśmy wystawieni na negatywne skutki oszukańczych fikcji, przez naszą podatność na pozór; wykorzystują ją ci, którzy – jednak – „mogą chcieć” nadać w mówieniu ważność publiczną. Widać potrzebują oni wsparcia ze strony innych, by podtrzymywać pozór. Jesteśmy wystawieni na te destrukcyjne skutki zwłaszcza tam, gdzie prawda jest w cenie: na terenie poznania i moralności. Oczywiście również w życiu publicznym nie ma lepszego, nie ma w ogóle innego pola działania złych fikcji niż pole społeczne, w szerokim sensie, obejmujące, rzecz jasna, poznanie, naukę, moralność, wszelkie dyskursy i inne struktury znaczące w przestrzeni międzyludzkiej. Złe fikcje potrzebują bowiem nieokreślonej, dużej liczby jednostek ludzkich – żywych,

<sup>4</sup> I. Kant, *Krytyka czystego rozumu*, przeł. R. Ingarden, PWN, Warszawa 1986, A297/B353.

<sup>5</sup> I. Kant, *O postępach metafizyki*, przeł. A. Banaszkiewicz, słowo/obraz/terytoria, Gdańsk 2007, s. 350.

<sup>6</sup> I. Kant, *Krytyka...*, op.cit., A822/B850.

nie abstrakcyjnych – dzięki którym i kosztem których istnieją. Różne dyscypliny naukowe, religie, instytucje wytwarzają swoje własne dyskursy, pretendujące do tego, by być istotną, ba – nieodzowną, częścią rzeczywistości. Siłę fikcji budowanej w takich czy innych systemach znaków wzmacnia stojąca za nimi władza, autorytet, instytucja. Ogólność struktur znaczących zostaje przez to wbudowana w szerszy jeszcze system, staje się częścią potężnej, złożonej, wszechogarniającej struktury. Całość taka zachęca do tego, by uznać ją za rzeczywistość absolutną, a język, którym się jej emisariusze posługują, za język absolutu. Prócz dyskursywnej obudowy absolut taki ma nadto stosowną oprawę innych znaków, symboli i ceremonii, rozbudowujących fikcję tak, by bardziej wszechstronnie zaspokajała ona ludzkie potrzeby i bardziej szczerze ukrywała, że cokolwiek poza nią może istnieć.

Dobre fikcje są zindywidualizowane, bardziej samodzielne w stosunku do rzeczywistości niż te złe. Nie żerują na życiu i nie domagają się rzędu dusz, które z automatu podpadają pod narzucane struktury znaczące. Automatyzacja i mechanizacja – działania, myślenia, życia – służy, oczywiście, złym fikcjom. Dobre fikcje są twórcze i mają charakter, w szerokim rozumieniu, estetyczny. Piękny pozór – o czym poucza zwłaszcza Fryderyk Schiller, idąc tropem Kanta – nie oszukuje: to gra, w której dobrowolnie uczestniczymy. Tutaj jest też oczywiste, że fikcja ma swojego autora czy autorów, twórców i współtwórców. Nie ma powodu i sensu ukrywać tych różnorodnych, twórczych udziałów. I jawne jest to, że fikcja jest wykreowana za pomocą znaków. Jej język nie udaje obiektywności i prawdy. Ten wykreowany świat nie występuje z pretensją do ostateczności: otwiera na to, co nowe, inne. Nie wywiera presji, by mu się podporządkować i w nim pozostać – zastygnąć, zamilknąć. W filozoficznej koncepcji Schillera gra i piękny pozór mają sens nie wąsko estetyczny, w zastosowaniu do sztuki jako wyizolowanej dziedziny rzeczywistości, ale też egzystencjalny, antropologiczny i społeczny. Piękny pozór mógłby kształtować egzystencję i życie społeczne: państwo estetyczne.

Wracając do złych fikcji – choć społeczeństwo, zwłaszcza w osobach swoich przywódców, nie ceni raczej prawdy i obiektywności, to jednak ci, którzy występują na publicznej scenie, afiszują się, zdołają i zasłaniają „wartościami”, a wśród publiczności jest na to popyt. Jedni i drudzy „fikcjonują”, choć ponadto niektórzy żywią autentyczną potrzebę usensownienia międzyludzkiego świata. Fikcje rządzą życiem społecznym i to nie od wczoraj, a karmią się właśnie pozorami tego, co powszechnie ważne i obiektywne. Znaki występują tu z pretensją do obiektywnej czy wręcz absolutnej ważności. W życiu publicznym postępuje dewaluacja języka i sensu, ale struktury budowane ze znaków wciąż niosą obietnicę obiektywności, dopełnienia i dowartościowania życia. Ludzie, chcąc nie chcąc, od nowa ulegają iluzji, że osoby publiczne mają im do przekazania jakieś pełne sensu wiadomości, płynące z wyższych, metafizycznych urzędów. Postępującej dewaluacji wszystkiego, co nie

ma wartości wymiennej, totalnej komercjalizacji towarzyszy dyskurs mówiący, że żyjemy w „społeczeństwie wiedzy”.

Korporacje nie działają pod szyldem „Kasa i pranie mózgów”, lecz „Mission, Vision, Value”. Zarazem firma o bogatej w konotacje nazwie „Virgin” zachęca do kupna telefonu, z którego to urządzenia można korzystać „bez limitu” i „bez umowy”. Te ostatnie hasła brzmią anarchizmie, obiecują posiadaczom tych urządzeń coś dzikiego i wspaniałego, co, zdaje się, nie bardzo zgadza się z podporządkowaniem misjom i wartościom organizacji. „Wybierz pakiet dla siebie: na szybko; pełen luz, dla mnie super”, a „sprawy załatwiamy razem, po ludzku w Centrum Miłej Obsługi Klienta CMOK”. Jednak z drugiej strony to anarchizmie przesłanie jak najbardziej daje się pogodzić z „misją, wizją i wartością”. M-W-W mogą być, jak trzeba, wniosłe i nadmysłowe, i łączyć się w pożądaną całość z normalnymi męskimi, ludzkimi potrzebami: nic, co ludzkie, nie jest mi obce.

Zarazem reklamy typu „Virgin” budują – starą jak świat – misję, wizję i wartość kobiety w ramach męskich struktur. Kobieta, czyli: świeża, niewinna, czysta, a przy tym bez ograniczeń i bez zobowiązań dostępna dla mężczyzny, za każdym razem – dziewica. Zestawienie tych dwóch haseł odsłania nieprzypadkową zależność, która może wzbogacić naszą wiedzę o złych fikcjach. Otóż narzuca się przypuszczenie, że w wypadku istot żywych funkcjonowaniu w bezosobowych, martwych strukturach musi, po drugiej stronie, towarzyszyć coś żywego, odświeżającego, kontakt z rzeczywistością. A ten – wobec złożoności owych struktur, zupełnie niewspółmiernej do znaczenia – musi realizować się w prosty, fizyczny, bezpośredni sposób: taki, jaki obiecuje wspomniane urządzenie. Taki bufor dla oficjalnej sfery fikcji jest odwiecznie zagwarantowany w postaci kobiety – żywego łona natury.

Doszedłem zatem do feministycznego spojrzenia na fikcje. Simone de Beauvoir i Mary Daly nazywają rzeczy po imieniu: złe fikcje są dziełem mężczyzn, to oni nakręcają bezosobową, śmiertoczną maszynę – ale nie o własnych siłach, lecz karmiąc się kobiecą energią. (Dla porządku należy dodać, że również dobre fikcje są, historycznie rzecz biorąc, bardziej dziełem mężczyzn niż kobiet. Skoro jednak są życiodajne, to, choćby zerowały na kobietach, dają przynajmniej coś w zamian.) Według wspomnianych autorek mężczyźni żywią się ciałem i duchem kobiet, żyją ich, a nie swoją, energią – do tego odnosi się przytoczone na wstępie tych rozważań określenie „nekrofilia”. „Męska potrzeba / ściąganie kobiecej energii, widziana w jej bycie, to *nekrofilia* – nie w sensie kochania rzeczywistych ciał, lecz tych przeznaczonych do stanu żyjącej śmierci”<sup>7</sup>. „Virgin” obiecuje nieograniczoną możliwość bezpiecznego doładowania.

W tym, co wyżej powiedziałam, tkwią dwa założenia, które ktoś mógłby chcieć podważyć, aby uniknąć opatrywania mężczyzn mianem pasożytów, wampirów,

<sup>7</sup> M. Daly, *Gyn/Ecology. The Metaethics of Radical Feminism*, Beacon Press, Boston 1978, s. 59.



sadospirytualistów i wieloma jeszcze innymi niepochlebnyymi – w każdym razie z punktu widzenia kobiet – mianami. Czy jednak rzeczywiście ktoś chciałby te założenia i ten wniosek podważać? Otóż pierwsze założenie jest takie, że analizujemy istoty żywe. Powiedziałam wcześniej, że „w wypadku istot żywych” narzuca się przypuszczenie, że życie czerpią z – tak czy inaczej rozumianej – natury, a nie z owych bezosobowych fikcji, które w moim ujęciu *ex definitione* są niszczące. Ujawnia się tu drugie założenie: że żywe istoty czerpią energię do życia z siebie i z innych. Gdyby ktoś twierdził, że życie i energię istoty ludzkie biorą na przykład od Boga, albo – jeśli o złych fikcjach mowa – od diabła, a w żadnym stopniu z siebie samych i z innych istot ludzkich, to nie byłoby sensu z tym kimś rozmawiać. Właśnie tego rodzaju oszukańcze wyobrażenia są narzucane wg Daly przez mężczyzn, Bogów-ojców, wstawiane w miejsce życia. Temu służą ich wymysły i wynalazki: zatajaniu ich wampirycznej natury, no i zapewne ich potrzebom, ich sprawom. Wymysły i wynalazki – polityczne, filozoficzne, religijne, technologiczne, wszystko niemal, co mężczyźni stworzyli i tworzą, służy budowaniu fikcji: innej rzeczywistości niż życie. I pojęcia, i wyobrażenia, i społeczne urządzenia, i rozmaite ceremonie, od których wieje śmiertelnym chłodem. Męskie „procesje” przeciwstawia Daly procesowi życia, a „paradygmatyczną procesją/paradą, w której mężczyźni wyładowują męskocentryczny mit, jest parada wojskowa. Ceremonie, z obowiązującymi mundurami, dekoracjami, gestami, wszystko to jest częścią oszukańczych, «świętych» procesji, za sprawą których patriarchalni procesorzy uczestniczą w swoim paradygmatycznym micie. [...] Podstawowy marsz, w odmierzonych ruchach ciała, jest marszem śmierci. Ta radykalna choroba to nekrofilia”<sup>8</sup>.

W wizji Daly wytwórcy złych fikcji, mężczyźni, nie żyją własnym życiem, lecz, jak to wampiry, cudzym. Nie wiem do końca, jak jest z wampirami, ale pasożyty mają naturę cielesną, są zbudowane z materii ożywionej. Jakkolwiek więc metafizyczny status męskich istot jest problematyczny, faktem pozostaje, że pod pewnymi względami przypominają istoty żywe, a pod innymi – mechaniczne, i na swoją modłę urobiły świat społeczny. Daly ani myśli uznać, że zło, tak jak je postrzega, wynika z nicości, niebytu, że nie ma autorów. Oni, oczywiście, wolą właśnie tak rzecz ujmować. Wielcy, ważni, gdy chodzi o uczestnictwo w fikcji, ulatniają się, gdy braknie im tego odgórnego, ogólnego umocowania. Hołdując fikcjom, kobietę akceptują w świecie o tyle, o ile pomagają im ona w taki czy inny sposób budować ich oszukańczy świat, o ile ich wspiera. Przykrawana i przystosowywana do męskich potrzeb i wzorów, kobieta tyle traci na istnieniu, ile dzięki niej zyskuje mężczyzna.

Kobięcy zmysł obserwacji uwyrażnia i wzmacnia kontury i szczegóły złych fikcji w analizowanym tu znaczeniu. Abstrahując od biologicznej płci, charakteru, genów,

---

<sup>8</sup> Ibidem, s. 45–46.

wychowania i innych uwarunkowań, w ludzkim świecie przebywają istoty chętnie utożsamiające się z bezosobowymi strukturami, znajdujące w tym upodobanie. Pokornie je przyjmują albo wielbią, mniejsza o to. Organizując, owijając swoje istnienie wokół fikcji, innym istotom każą orbitować wokół arbitralnie wyznaczonej, sztucznej osi rzeczywistości. Nie muszą nic robić – po prostu oczekują dostosowania. Osoba orbitująca, jeśli jeszcze w ogóle coś robi, stara się, mimo wszystko, przetrwać. Walczy o przetrwanie w tym nieobiecującym położeniu. Marksowski robotnik pracuje tylko po to, żeby przeżyć, i czuje się sobą tylko w swoich fizjologicznych funkcjach: wtedy tylko czuje, że żyje. Niedostępna jest mu jakakolwiek forma tworzenia (prócz biologicznej reprodukcji), rozwoju. Egzystuje tylko „na minusie”, coraz większym.

Ci orbitujący są potrzebni, by współtworzyć fikcyjną oś rzeczywistości. Z każdego bowiem z takich punktów wychodzą linie, na przecięciu których rośnie fikcja. Im więcej tych linii, biegnących w kierunku wymyślanego centrum, tym bardziej wyraźna staje się domyślna oś. I zrazem – szersze kręgi zatacza fikcja. Punkty ustawione na jednej linii nie dająby tego efektu – nie byłoby żadnej osi, punktu centralnego, i żadnej hierarchii, a ta jest potrzebna zautomatyzowanym, pustym istotom. Czegoś muszą się trzymać. Wobec bytów stojących niżej zajmują pozycję tego, co ogólne, z kolei wyższa, nadrzędna wobec nich struktura pozwala im oczyścić się z własnej szczegółowości i indywidualności. Jednak wszystko to razem jest zawodne – i udział innych, i własny, i sumaryczny efekt. Na owej osi, w przecięciu linii, powinien naprawdę istnieć absolut, z którego cała ta konstrukcja wyrasta. Skoro istnieje, to usprawiedliwia wszystko. Wtedy sprawa jest jasna: to z absolutu wyłaniają się, na wysokim poziomie ogólności, istoty, którym to było dane: fikcjonariusze, fikcjonerzy, fikcyjniści. Każdy ma siebie za wybranego i wyjątkowego, ale ta trudna misja ma nie jednego, lecz wielu wysłanników, z czym jakoś muszą się pogodzić. Są zapewne wysłannicy różnego poziomu, o różnym stopniu ogólności – z pewnością jakaś hierarchia jest – lepiej byłoby stać wyżej. Tak czy inaczej trzeba dołączyć do władającej struktury, bo zawsze będzie się wtedy wyżej niż bez niej.

To, że akurat mężczyźni świetnie sprawdzają się w roli fikcjonistów, fikcjonariuszy i fikcjonerów, to chciałoby się rzec, kwestia przygodna. Zapewne oni chcieliby widzieć ten związek jako przygodny, pleć bowiem, mimo wszystko, należy do świata życia, a oni przecież reprezentują inny świat. Tak się jednak składa, że świat ludzki jest zdominowany przez mężczyzn, a więc przez ową przygodną zależność. Kobieta w męskim świecie odgrywać ma różne role, stosownie do tego, jaką ją sobie życzy widzieć mężczyzna. Ponieważ męski potencjał – misyjny, wizyjny i wartościotwórczy – jest przebogaty, to również kobiety dostają różne role, wpisują się w różne męskie wizerunki. Nade wszystko powierza się im zadania reprodukcji biologicznej i inne funkcje związane z tym, aby istnienie nie zapadło się pod ziemię, funkcje odtwórcze. Jednak również wyższe zdawałoby się role, niezwiązane z „niskimi” zadaniami

troski o życie – na przykład rola muzy, kochanki, kurtyzany – są wpisane w schemat reprodukcji, tyle że za sprawą mężczyzn uwznioślonej, oczyszczonej, nie czysto biologicznej<sup>9</sup>. Kobieta służy mężczyźnie za lustro, w którym ukazuje się on dwa razy większy; lustra te są elementem gigantycznej struktury męskich oszustw i fikcji, którą M. Daly nazywa „Father’s House of Mirrors”<sup>10</sup>. W fikcyjnym męskim świecie kobieta nie tworzy, nawet nie rodzi – naprawdę rodzą mężczyźni. Reprodukacja, odtwarzanie – już same słowa sugerują, że chodzi tu o coś bezosobowego. Wszystko dzieje się samo, na chwałę tym, których fikcyjne samodzielnstwo dowartościowuje.

Ról jest wiele. Jednak zgodnie z opisywaną tu logiką złej fikcji, niezbędna jest – prócz tych poszczególnych ról – kobieta, nazwijmy ją, podstawowa, kobieta-struktura, łącząca życie z ogólnością. Nieskończenie żywy i nowy, dobrze działający automat, który można nabyć za 29 zł. „Nasza oferta jest bez gwiazdek, przypisów, umów i rachunków”. To wymarzona oferta dla barbarzyńców, którzy chcą mieć wszystko w jednym, ale w żaden sposób jedności nie budują, nie tworzą.

Na koniec wypada przypomnieć, że – prócz feministek – nikt chyba tak zawzięcie nie bronił życia przed śmiercionośnymi fikcjami, jak Fryderyk Nietzsche. Nihilizm w jego ujęciu to przede wszystkim konstruowanie fikcji „innego świata”, które nieuchronnie niesie ze sobą destrukcję życia: im więcej w ten inny świat wkładamy, tym większe siejemy zniszczenie. Jednak również ten transcendentny świat martwieje, traci na wartości. Niestety, życie przez to nie nabiera wartości i sensu; niczego w ogóle nie przybywa. Teraz oba światy pustoszeją i martwieją. Nietzscheański nihilizm działa więc jednokierunkowo, to – podobnie jak u Marksa – postępek w niszczeniu. Jeśli rzeczywistość jest cała i pełna, to można od niej tylko odejmować. Czynny, twórczy nihilizm, to co innego...

Fikcjonałści, fikcjonerzy i fikcjonariusze, ich „uroczone i zakapturzone wyobrażenia wartości” – „z ponurych nut tych mistrzów śmiać się nakazywałem, i zgoda ze wszystkiego, co, niby czarne na ptaków straszyciła, obsiadało drzewo życia”<sup>11</sup>.

---

<sup>9</sup> O tych rolach można się wiele dowiedzieć od S. de Beauvoir, *Druga płeć*, przeł. G. Mycielska, M. Leśniewska, Jacek Santorski & Co, Warszawa 2003, zwłaszcza z części III, „Mity”.

<sup>10</sup> M. Daly, *Beyond God the Father. Toward a Philosophy of Women’s Liberation*, Bacon Press, Boston 1985, s. 189–198.

<sup>11</sup> F. Nietzsche, *Tako rzecze Zaratustra. Książka dla wszystkich i dla nikogo*, przeł. W. Berent, Biuro Informacji Studenckiej ZSP, Warszawa 1990, s. 135, 242.